

Marek Sztarbowski: * Drozdowia *

Pracowałem kiedyś w drozdowni i nie chwaląc się,
niezłe drozdy wtedy robiliśmy.
Zarząd nie żałował jeszcze kasy na upierzenie,
a każdy drozd, zanim opuścił drozdownię,
był dokładnie testowany,
nawet w dupki drozdom laborantka Dorotka zaglądała,
czy czasem nieba na wylot nie widać.

Najlepiej można było zarobić na produkcji
drozda kwiczoła przeznaczonej na zagajniki
i łągi śródpolne, i do tych kwiczołów
to żeśmy się naprawdę z chłopakami przykładali.

Niektóre na zimę nawet nie odlatywały,
jeśli obsadziło się im teren rokitnikiem,
głogiem, czy jabłka niezerwane w sadzie
tu i ówdzie zostawiło.

Gorzej już było z drozdem śpiewakiem -
tu mogłeś się człowieku jak głupi natyrać,
a potem okazywało się, że laborantka Dorotka
całą partię zwracała, bo niby a to jeden za nisko śpiewa,
to znowu drugi za wysoko.

Rzadko udawało się za pierwszym razem
zrobić drozda, który by śpiewał akurat
i do tego jeszcze jak prawdziwy drozd.

Wadliwe musieliśmy z pierza skubać,
ugniatać na nowo w dupkę co rusz zaglądając,

czy nieba za bardzo na wylot nie widać
i drżeć pod koniec miesiąca,
żeby laborantka Dorotka znów jakieś skazy
na ptakach nie znalazła.

Ale babsko wyjątkowo upierdliwe było, aż w złości
żeśmy jej kiedyś bociana
raz dwa na nocnej zmianie wystrugali
i między gotowe już drozdy do gniazda podłożyli.

Przychodzi Dorotka, patrzy na bociana i spokojnie,
jakby nic mówi:

- Pomóście no chłopcy, podnieść mi tego drozda
do góry, bo ciężki jakiś a sprawdzić trzeba,
czy i nieba na dodatek nie będzie widać?

Podskoczył ten i ów zaraz i podniesiono bociana
wysoko, aż dziobem o sufit drozdowni wyrznął,
a Dorotka tak się przez niego w gwiazdy zapatrzyła,
że bachora na wiosnę jej przyniósł.

Nastało kilka miesięcy spokoju, bo odtąd bardziej
zajęta była badaniami, którego to sprawka
ten bocian, niżli produkcją samego drozda.
W końcu złazi któregoś dnia z laboratorium
na dział drozda obroźnego, a każdy od razu
piwo chowa i za młotek łapiąc oklepuje
głośno swojego ptaka, że niby taki zapracowany.

Ale ona tylko stanęła przy mnie i gapi mi się na ręce.

Z nerwów łebek ukręciłem prawie gotowemu drozdowi obroźnemu,

ale Dorotka tylko postąpiła przy mnie

wymownie dobrą godzinę, przez cały czas nic nie mówiąc.

Wreszcie wystękała, niby do siebie:

- No tak... coś trzeba będzie teraz z tym zrobić...

Zakręciła się na pięcie i wyszła. Chłopaki otoczyli mnie zaraz

i z przejęciem wołali jeden przez drugiego,

że koniec z tobą bracie, przesrane masz

przez tego bociana i na drozdach

to ty już sobie nie zarobisz!

Nic nie odrzekłem, tylko fartuch zdarłem

z siebie nawet guzików nie rozpinając,

rzuciłem o posadzkę drozda obroźnego bez łebka,

aż huknęło serduszko jego maleńkie

i wybiegłem z drozdówni.

Nigdy już tam nie wróciłem,

nawet żeby rozliczyć się,

nawet po drozda na odchodne,

co to go każdy dostawał od zarządu,

jeśli przepracował co najmniej 5 lat.

Słyszałem potem, że drozdównia

zaczęła podupadać, coraz mniej drozdów

schodzi z produkcji i coraz słabsze są -

świsnąć nurkując, jakbyś mokrym styropianem

o szybę tarł w te i wewte,

aż ludziom zęby zgrzytają ze złości na te drozdy ostatnie.

*

<https://www.youtube.com/watch?v=SfyX4v1WqO8>